

Mirosława Szott (podała do druku)
Biblioteka Uniwersytetu Zielonogórskiego

DISKUSJA NA TEMAT LITERATURY LUBUSKIEJ I JEJ TWÓRCÓW

„Czego brakuje nam, by tworzyć arcydzieła?” – zapytaliśmy słowami Małgorzaty Kowalskiej-Masłowskiej (jej artykuł o identycznym tytule ukazał się w „Faktorze” 17 kwietnia 1979 r.) lubuskich pisarzy, badaczy i krytyków. Dyskusja, której organizatorami był oddział zielonogórski Związku Literatów Polskich oraz Biblioteka Uniwersytetu Zielonogórskiego, odbyła się 5 grudnia 2018 roku w auli Biblioteki UZ. Wśród zaproszonych gości byli: Małgorzata Mikołajczak, Kamila Gieba, Paulina Korzeniewska, Arkadiusz Kalin, Andriej Kotin, Alfred Siatecki, Czesław Sobkowiak, a debatę moderowałam wspólnie z Eugeniuszem Kurzawą – spiritus movens tego wydarzenia.

Spotkanie rozpoczęło się od wręczenia prof. Małgorzacie Mikołajczak nagrody prezesa zielonogórskiego oddziału ZLP. Następnie Eugeniusz Kurzawa zaprezentował swoje tezy, a każdy z dyskutantów mógł się do nich ustosunkować w dwóch krótkich turach. Na końcu do dyskusji włączyli się także słuchacze. Myślę, że nie doszło do wypracowania wspólnego zdania (o tym nawet nie marzyliśmy), ale wymiana myśli, może czasem chaotyczna i trudna do uporządkowania, jak przystało na prawdziwą burzę mózgów, jest dopiero początkiem głębszego zastanawiania się nad zjawiskami literatury lubuskiej. Poruszone zostały między innymi takie zagadnienia, jak: sprawa promocji kultury lokalnej, internetowa przestrzeń tworzenia, funkcjonowanie krytyki literackiej, oczekiwania współczesnych czytelników, tematyzowanie miejsca czy wreszcie kwestie arcydzieł i talentu samych piszących. Mam nadzieję, że uda się zorganizować następne dyskusje, zaprosić kolejnych gości i wybrać ważne (zawężone) tematy dla tego środowiska literackiego.

A pytanie tytułowe jak zwykle pozostanie bez konkretnej odpowiedzi. Chociaż nie. Kiedy wieszalam plakat, podszedł mężczyzna niezwiązany ze środowiskiem literackim i stwierdził bez wahania: „To sprawa talentu – nad czym dyskutować?”. Myślę, że był najbliżej odpowiedzi z nas wszystkich. Poniżej przedstawiam głosy dyskutantów. Rozmowę poprzedziła dłuższa wypowiedź Eugeniusza Kurzawy.

Mirosława Szott

Eugeniusz Kurzawa: Od dawna zastanawia mnie, dlaczego na Ziemi Lubuskiej nie powstały dotąd dzieła (niekoniecznie od razu arcydzieła), które decydująco wpłynęłyby na kształt literatury polskiej. Pozycje, bez których nie mogłaby się obejść. Czego nam, twórcom mieszkającym w tym regionie, tworzącym tutaj od lat (od 1945 r.), brakuje, żeby wspiąć się na Parnas? Spróbujmy się zastanowić...

Nie zamierzam sięgać głęboko w przeszłość literacką środkowego Nadodrza i dokonywać analizy tej – powiedzmy sobie tak – indolencji. Ale rzućmy okiem wstecz. W uproszczeniu można przyjąć, że współczesne życie literackie zaczęło się tutaj po 1945 roku. Lata 50. i 60., co już zostało w miarę solidnie zbadane i opisane, to był ów pierwszy okres „burzy i naporu”, gdy w wyniku przesunięcia Polski przez aliantów na zachód zaczęli się tutaj organizować i tworzyć różni, zwykle początkujący artyści, tak pisarze, jak plastycy, muzycy, z czasem aktorzy. Generalnie jednak, zwłaszcza z chwilą awansu w 1950 roku do rangi ośrodka wojewódzkiego, Zielona Góra stała się (i chyba jest do dziś) raczej miastem urzędniczym niż artystycznym, organizującym twórczy ferment.

Pierwociny literackie, powstanie pisma „Nadodrże”, organizowanie się środowiska pisarskiego były na swój sposób ciekawe. Znamy te efekty w postaci dzieł, książek, są opisy, wspomnienia wielu osób oraz publikowane analizy Andrzeja K. Waśkiewicza. Być może najciekawszą z ówczesnych postaci świata artystycznego na szczęblu regionu (województwa) był Zygmunt Trziszka opisujący problemy wrastania (i mieszania się tutaj) osiedleńców ze wschodu, z Wielkopolski, Kongresówki *etc.* Należy też zauważyć sprawne pióra prozaików: Zdzisława Morawskiego, twórczość Ireny Dowgielewicz, Janusza Olczaka, Tadeusza Jasińskiego. Postawmy jednak dziś pytanie: co zostało, co przetrwało próbę czasu z tamtego heroicznego okresu? Hasło „przetrwało” rozumiem tu w znaczeniu – nadal oddziałuje na czytelników, jest uwzględniane przez krytyków, weszło do obiegu krajowego.

Otóż Janusz Koniusz mówi tak (mój wywiad z nim, „Gazeta Nowa” z 23-25 kwietnia 1993): „Książki »lubuskie«, »wiejskie« Trziszki zweryfikował czas. Co z niego zostało...?” – pyta Koniusz. Wówczas sugeruję mu, że „ostatnio” pojawiły się ciekawe rozmowy Trziszki z Leopoldem Buczkowskim. Na co poeta stwierdza (chyba należy uznać: pesymistycznie) tak: „Niewykluczone, że przy Buczkowskim właśnie ocaleje Trziszka”. Pan Janusz mówi dalej: „kiedyś myślałam, że Irena Dowgielewicz [zostanie w literaturze]. Było o niej głośno w kraju, jej twórczość była w obiegu ogólnopolskim. Niestety, czas zweryfikował tamte zachwyty krytyki”.

I taka jest chyba prawda. Tamtą prozę (*in gremio*) zweryfikował czas...? (stawiam znak zapytania, gdyż nie czuję się kompetentny, żeby to stwierdzenie potwierdzić, a rzecz jest ciągle warta zbadania). Rzeczywiście, książki prozaików nie są wznawiane, nie są dyskutowane, omawiane. Spora część pisarzy wyjechała potem z Zielonej Góry, Gorzowa i regionu. Większość prozaików tych wczesnych lat Polski Ludowej już nie żyje.



Fot. Archiwum Biblioteki Uniwersytetu Zielonogórskiego

Należy jeszcze wspomnieć o poetach tamtych i późniejszych lat, gdyż z czasem przybywało poetów, prozaicy – jak rzekłem – milkli, wyjeżdżali. Tę grupę reprezentowali właśnie Janusz Koniusz, także Zdzisław Morawski z Gorzowa, oczywiście Papusza (z Gorzowa), z czasem Andrzej K. Waśkiewicz. „Karierę” (biorę to w cudzysłów) zrobiła jedynie Papusza. Dziś podtrzymuje ją (tę karierę) dobry film, wtedy zainteresowanie krytyka i pisarza warszawskiego Jerzego Ficowskiego, również Juliana Tuwima. Była to zresztą i jest postać wyjątkowa w polskiej literaturze poprzez swą cygańskość, poprzez przełamanie tabu Romów i podjęcie notowania myśli na papierze, co przecież było niezwykłym w tym narodzie.

Powstanie Wyższej Szkoły Pedagogicznej, czyli stworzenie środowiska humanistycznego w województwie (starym) zielonogórskim, zaowocowało importem studentów „z terenu”, którzy oczywiście zaczęli pisać i wydawać wiersze. Można rzec, iż pojawiły się całe tabuny piszących. Sprzyjała temu właśnie WSP, ruch studencki, który zaczął wydawać własne pisemka, gdzie można było drukować tę (bardzo amatorską na początku) twórczość. Ponadto już wcześniej (to zresztą była inicjatywa Trziszki mieszkającego wówczas w Gorzowie) powstała w regionie odnoga ogólnopolskiego ruchu literackiego początkujących autorów w postaci Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy (afiliowanego przy ZMW). Tam też rodzi się i mieli gdzie publikować początkujący (i nie tylko) twórcy, przykładem Jolanta Pytel, Jerzy Chłodnicki, Benedykt Banaszak i inni. Istniało ponadto zjawisko migracji twórców w drugą stronę, wyjazdy z regionu, województwa. Tu mamy przykład Czesława Sobkowiaka i Wojciecha Śmigielskiego, którzy podjęli studia we Wrocławiu i tam łapali wiatr w żagle, ale po studiach, doktoratach wracali w rodzinne pielesze.

Jednakże – tu zmierzam do głównej tezy mojego wystąpienia – żaden z tych wymienionych i niewymienionych twórców nie przebił się i nie „usadowił się” w obiegu ogólnopolskim. Nie chodzi oczywiście o zdobyte tu i ówdzie nagrody w ogólnopolskich konkursach literackich, nawet o książki wydane w prestiżowych (wówczas i dziś) wydawnictwach o znaczeniu krajowym, o entuzjastyczne nawet recenzje, udział w zjazdach, seminariach, warsztatach literackich. Idzie o to, że w zasadzie nikt poza dwiema – moim zdaniem – postaciami, o których niżej – nikt ze środowiska pisarskiego Ziemi Lubuskiej w okresie powojennym nie wszedł na trwałe do obiegu ogólnopolskiego, nie usadowił się tam, nie wypłynął i nie wpływa na kształt literatury polskiej! Nie wprowadził do literatury polskiej dzieł i wartości, wobec których każdy, niemal każdy, powinien się wypowiedzieć, ustosunkować do nich. A tylko wtedy możemy mówić, iż pisarz, autor jest kimś znaczącym.

Nie mamy (niemal) takich ważnych postaci. Nie mamy kogoś, powiedzmy, na miarę białostockiej gwiazdy Edwarda Redlińskiego czy Urszuli Kozioł z Wrocławia (czy Biłgoraja) lub Rafała Wojaczka, albo Erwina Kruka z Warmii i Mazur, albo nawet z tychże Mazur Zbigniewa Nienackiego, słynnego „Pana Samochodzika” (tu biorę pod



Fot. Archiwum Biblioteki Uniwersytetu Zielonogorskiego

uwagę bardziej sławę niż wartości literackie jego dzieł; ale zaistniał, wciąż oddziałuje). Bo to, że nie mamy – jak ma Lublin i okolice – swego Józefa Czechowicza lub znamienitych pisarzy emigracyjnych, jak Waław Iwaniuk – to oczywiście, wiadome. Wszak u nas świat zaczął się w 1945 roku. Dlaczego jednak tygiel po tymże 1945 roku, odwilż październikowa po 1956 roku nie przyniosły nam takich dokonań, takiego fermentu, który zaowocował niepowtarzalnym *Awansem* i *Konopielką*, przejmującymi wierszami mazurskimi Kruka, sztukami teatrów studenckich do tekstów U. Kozioł? Dodajmy jeszcze, iż przecież Edward Stachura, Ryszard Milczewski-Bruno i dziesiątki znanych

poetów, artystów nie pochodzą z Warszawy, Krakowa, Poznania, tylko gdzieś z Polski. Męczycie mnie, czemu tą Polską nie jest Ziemia Lubuska?

Można oczywiście zauważyć, iż takich właśnie jak Stachura, zdolnych, utalentowanych, zasysała Warszawa. Tam się przenosili, tam prowadzili życie literackie, ładowali akumulatory i wystrzelili znakomitymi dziełami. To znany mechanizm. Dlaczego jednak stolica nie wciągnęła (prawie) nikogo z naszych twórców? Dlaczego nie daliśmy się „podkupić”? Wybraliśmy pozostanie na prowincji (a może to prowincja nas wybrała?). Owszem wyjechali wyliczani wcześniej prozaicy, w tym Z. Trziszka. W latach 70. Bolesław Soliński, poeta, recenzent, redaktor naczelny „Nadodrza”, został sekretarzem redakcji w ogólnopolskiej „Literaturze”. Ale czy zrobili „karierę” literacką lub medialną nad Wisłą?

Brak mi zatem naszych, lubuskich dokonań (biorę pod uwagę całe województwo) w zasadzie w każdej dziedzinie literatury: w poezji, prozie, dramacie, książkach dla dzieci *etc.* Mówię o dokonaniach ponadprzeciętnych, bo różne ciekawe, wartościowe realizacje są. Temu nie zaprzeczam. Przeciwnie, mogę chwalić Mieczysława J. Warszawskiego, Annę Tokarską, Czesława Sobkowiaka, Krzysztofa Fedorowicza, Kazimierza Furmana, Zdzisława Morawskiego, Beatę Patrycję Klary. Ale mi idzie o arcydzieła, może o ich namiastkę chociaż... Dlaczego tutaj nie powstają?

Zastanówmy się. Dlaczego tak jest? Co sprawia, że mając świetne warunki geograficzne (lasy, rzeki i jeziora, czyli miejsca inspirujące), sytuując się blisko Poznania, Wrocławia i Szczecina, lokując się blisko zachodu Europy (multikulturowego Berlina), wcześniej „przerabiając” ów tygiel narodowy, mieszaninę różnych przesiedleńczych „plemion”, nie potrafiliśmy prawie nic z tych uwarunkowań i z siebie wykrzesać? Czy jest na kogo zwać? Za małe środowisko? Oczywiście tak! Brak fermentu, brak inspiracji? Też. W latach 60., 70., aż do zmiany ustroju brakowało wydawnictw i czasopism. To też prawda, choć dziś jest chyba jeszcze gorzej, bo miejsce po dwutygodniku społeczno-kulturalnym „Nadodrza” jest wciąż puste... Ale może trzeba się uderzyć w piersi – co czyni niżej podpisany, oznajmiając – a jeśli zwyczajnie nie wystarcza nam talentu?!

Wiem, że koleżanki i koledzy po piórze mogą mieć do mnie żal i pretensje, że nie doceniam ich dorobku, ba, że deprecjonuję go. Informuję zatem, że i swój dorobek oceniam krytycznie i nie mam złudzeń, iż to, co piszę, jest wielką, a nawet średnią literaturą polską. Jestem poetą ze Zbąszynia, ostatnio z Wilkanowa i w tych realiach na pewno pozostanę.

A zatem: jednak tak zwana literatura lubuska przez swoje 73 polskie lata nie była perłą w koronie. Niestety. Myślę, że dowody przytoczyłem.

Wspomniałem o dwóch wyjątkach. To oczywiście Papusza i Andrzej K. Waśkiewicz. Oni przetrwali i, mam nadzieję, przetrwają, weszli – każde w różny sposób – do obiegu krajowego, tam istnieją i oddziałują, co jest najistotniejsze. O Papuszy już wspominałem, głośno bowiem w ostatnich latach o niej – i bardzo dobrze. Waśkiewicz z kolei (zresztą

także nikt inny w regionie!) nie był typem medialnym, nie był sławny, popularny, lecz jego dorobek to niesamowite prace studyjne, naukowe, analizujące literaturę polską zwłaszcza po 1918 roku do dziś. To sumienny edytor Peipera i Sterna, Czyżewskiego i Mili Elin, i wielu innych twórców. Bez uwzględniania jego dorobku nie sposób mówić o wielu aspektach polskiej literatury z perspektywy ostatnich 100 lat. Ponadto z biegiem lat objawiał się coraz bardziej jako znakomity poeta, o krytyku, znawcy literatury, socjologu życia literackiego nie muszę mówić. To nazwisko mówi wiele każdemu polskiemu poecie.

Tak widzę nasz lubuski wkład do literatury polskiej. Bardziej niż skromny i słabo rokujący na przyszłość. Janusz Koniusz powiedział w przytaczanym już tutaj wywiadzie: „jeżeli z mojej twórczości – powiedzmy za dwadzieścia lat – wejdą do jakiejś antologii poezji lubuskiej dwa, trzy wiersze – to moje pisanie i życie miało sens”. Nie brzmi to za bardzo optymistycznie, prawda?

P.S. Odpowiedź Mirce Szott na e-mail.

Przygotowując się do debaty o sytuacji w środowisku literackim, toczyłem swoistą debatę, e-mailową tylko, z Mirosławą Szott. W pewnym momencie – nie zgadzając się wówczas ze mną – przytoczyła kilka nazwisk „młodych, zdolnych” obecnych z sukcesami w życiu literackim nie tylko regionu, ale i kraju. Nie dałem się jednak przekonać, że to są ci, którzy wstrząsną literaturą lubuską. I napisałem do Mirosławy tak: „ja bym się bardzo cieszył, gdyby się okazało, że Zielona Góra i Gorzów Wlkp. przebiją się literacko w kraju. Gdyby się okazało, że najmłodsze czy jakiegokolwiek pokolenie pisarzy, krytyków lubuskich pokaże łwi pazur i znakomity dorobek w postaci książek, dzieł. Że zdobędzie znaczące nagrody, z Noblem na czele, że utrwali się w literaturze polskiej, ba, europejskiej. Choć nie jestem takim optymistą jak Ty, że Banaszak, Korzeniowska, Ginko, Leśniewska i parę jeszcze innych wymienionych przez Ciebie nazwisk będzie lepszych choćby od Papuszy na gruncie gorzowskim i Waśkiewicza na gruncie zielonogórskim. Oby – tego im życzę! Ale poczekajmy chociażby 10 lat, zgoda?, żeby to zweryfikować. Tzn. ja nie dociągnę tylu lat, ale liczę, że za dekadę przyjdiesz na mój grób i głośno, przy świadkach, powiedzmy przy mojej żonie i córce, i prof. Małgorzacie Mikołajczak powiesz, jak jest. Pobiliśmy was dziady literackie, oto dowody. Albo odwrotnie. Możemy się tak umówić?”

Małgorzata Mikołajczak: Zanim ustosunkuję się do tego, o czym powiedziałeś, Eugeniuszu, powiem tak: to, że się tutaj spotykamy, że rozmawiamy o tej literaturze, to już jest wielka wartość. Bardzo dziękuję Mirce, Eugeniuszowi za to spotkanie, Państwu za przybycie, bo myślę sobie, że jeżeli nawet jest tak, jak Gienek mówi, to takie spotkanie jest jednym z kroków ku temu, aby to się zmieniło. Odpowiadając na te tezy, warto byłoby zadać pewne pytania, które niuansują takie ostre stwierdzenia, a przede

wszystkim zapytać, czym są tytułowe arcydzieła? Dlaczego na przykład tomik *Anny Tokarskiej* nie mógłby nosić tego miana? Druga sprawa to kwestia funkcjonowania współczesnego życia literackiego i obiegu komunikacyjnego, w którym uczestniczymy. Wymieniłeś kilka nazwisk. Gdybyśmy chcieli iść dalej, wymieniać kolejne nazwiska, to obawiam się, że mielibyśmy problem. Bo w dzisiejszym życiu literackim, które istnieje w rozproszeniu, nie ma jednostek, które moglibyśmy, tak jak kiedyś, określić mianem niekwestionowanych autorytetów (np. *Herbert*, *Szyborska*, *Różewicz*). Wielu młodych, świetnych pisarzy znanych jest dziś tylko w pewnych kręgach czy też istnieje w sposób niszowy. Trzeba by poddać pod dyskusję jeszcze ten aspekt. I jest jeszcze trzecia sprawa: mechanizmy funkcjonowania małego środowiska literackiego. O tym za chwilę.

Kamila Gieba: Chciałam zwrócić uwagę na podobne rzeczy, o których powiedziała przed momentem Pani Profesor. Właśnie: co to jest arcydzieło? Zwłaszcza teraz, gdy żyjemy w czasach rozproszonych, płynnej nowoczesności, rozproszone są też kryteria oceny literatury. Bo jeśli chcemy mówić o arcydziele, to musimy sobie zadać pytanie – pod jakim względem to jest arcydzieło? Temat, forma, krąg odbiorców? Myślę, że to są kwestie dyskusyjne. Ale jeszcze jedna rzecz: czy twórcy regionalni aspirują do tego, aby ich utwory były uznane za arcydzieła? Literatura tworzona tutaj po 1945 roku, dotycząca kwestii regionalnych, zakorzenienia w tej przestrzeni, podejmuje tematy ważne właśnie dla Lubuszan, chociaż zarazem ma też wymiar uniwersalny. Kolejna rzecz: bardzo mocno w naszej zbiorowej świadomości jest zakorzeniona opozycja centrum-peryferie. To nam sporo rzeczy utrudnia – może być na przykład źródłem „kompleksu prowincji”. Możemy tę literaturę odczytywać w szerszym kontekście. Czy nie można lubuskich tematów przełożyć na sytuację ogólniejszą? Sądzę, że można. Warto ją odczytywać w kontekście innych regionów pogranicznych. Jeszcze odniosę się do tego, co Pan powiedział odnośnie do prozy *Zygmunta Trziszki* – czy ona jest już przestarzała? Myślę, że należy ją czytać zawsze w kontekście historycznym, czyli uwzględniając proces kształtowania, osvajania tych trudnych ziem, które trzeba było zagospodarować od zera. Trudnych ze względu na pewną sztuczność. Jest to przecież region nieodtworzony w granicach historycznych.

Czesław Sobkowiak: Problemów zostało już dużo poruszonych. Po pierwsze, ja bym się nie upierał przy rozstrzygnięciu kwestii arcydzieło-niearcydzieło. Arcydzieło może być napisane, ale nie musi zawsze zaistnieć. Książki, które zostają co roku nagrodzone w *Lubuskich Wawrzynach*, to są dobre książki. Czy docierają gdzieś dalej? My chcemy być zauważeni. To jest dosyć fałszywy trop. Nie można zaplanować sobie pisania arcydzieła. Na arcydzieło składa się ogromna praca. Większość albo wszyscy tutaj uprawiają literaturę dosyć dorywczo. A praca nad jednym wierszem trwa często długie dni.

Dla mnie istotniejsza jest inna sprawa. Eugeniusz przedstawił rys, jak ta literatura się tutaj rozwijała. I to istniało wszystko od początku na marginesie literatury polskiej. Przyjeżdżali tu pisarze z Polski centralnej. Oni wzbogacali to środowisko, dopingowali. Ale zawsze nas tu było mało. Ta sytuacja się znacząco zmieniła. Środowisko zielonogórskie jest bogate. Zielona Góra ma co najmniej cztery ośrodki literackie. Pierwsze to Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów – przewija się przez to środowisko sporo osób, które mają iskrę talentu. Kiedyś do literatury wchodziło się przez debiut. Teraz wchodzi do literatury ci, co mają czas. Drugi ośrodek: Związek Literatów Polskich. Ty Eugeniuszu działasz na rzecz Andrzeja K. Waśkiewicza, ocaliłeś twórczość Janusza Koniusza. My teraz na gwałt chcemy wszystko oceniać, decydować, czy coś jest arcydziełem, czy nie. To nie jest ważne. Jeśli będziemy tak wszystko osądzać, to faktycznie dojdziemy do wniosku, że piszemy rzeczy niepotrzebne, które niczego do literatury nie wniosą. Istnieje także pismo „Pro Libris”. To trzeci ważny punkt na kulturalnej mapie Zielonej Góry. Wokół tego pisma sporo osób piszących się gromadzi. My nie mamy zawodowej krytyki, która by rządziła, ustalała hierarchię. Ale jest zaplecze młodych krytyków, którzy chociaż opisują. Jeszcze jest inny ośrodek: Oksymoron. Kiedyś tego nie było. Teraz mamy wielokierunkowo rozwijające się środowisko.

Paulina Korzeniewska: Będę mówiła z perspektywy piszących współcześnie, z punktu widzenia mojego pokolenia. Moim zdaniem, aktualne życie literackie w Polsce nie dzieje się w regionach, ale w Internecie. To nie jest tak, że w dużych ośrodkach kulturalnych artyści spotykają się, gromadzą, dyskutują. Oni siedzą często na Facebooku – tam rozmawiają o książkach, dyskutują, plotkują, recenzują się, kontaktują się z wydawcami i dzięki temu wydają swoje książki. Co się z tym łączy – żyjemy w czasach, kiedy autorzy są bardzo mobilni. Nic nie wynika z tego, że tu mieszkamy. Czy to ma aż tak ogromne znaczenie, skąd jesteśmy? Gorące nazwiska literackie są z miejsc dość przypadkowych. Na przykład Dorota Masłowska pierwszą książkę napisała w Wejherowie. A publikacja ta została uznana za coś przełomowego. Wioletta Grzegorzewska, nominowana do Nagrody Bookera, mieszka w Wielkiej Brytanii, urodziła się gdzieś w Koziegłowach, część życia spędziła w Częstochowie. Nie są to duże ośrodki. Po trzecie: Pan Eugeniusz powiedział o oczekiwaniach w stosunku do arcydzieł. Ja nie mam żadnych. Jak sobie myślę, że jeśli jakiś pisarz siada do pracy nad swoją pracą, myśląc o tworzeniu arcydzieła, to bardzo mu współczuję. Bo ciężar tej presji musi być nie do zniesienia. Pewnie do niczego to dobrego nie prowadzi. My – literaci, krytycy, badacze – mamy chyba poważniejsze problemy, na przykład jak zachęcić młodzież i studentów do tego, żeby się aktywnie literaturą interesowali. To są chyba rzeczy, którymi powinniśmy się martwić.

Andrzej Kotin: Przede wszystkim czuję się najmniej uprawnioną osobą do tego, żeby mówić o literaturze lubuskiej. Nie wiem, czym jest literatura regionalna. Nie używam

tego pojęcia. Wszelkiego rodzaju „my” w odniesieniu do literatury wydają mi się nie-stosowne. Literatura jest, niczym śmierć, sprawą bardzo samotną. Za każdym razem, kiedy czytam artykuły, reportaże i słyszę: „tworzymy”, „jesteśmy”, „myślimy”, to nie wiem, kim są ci „my”. I nie mogę znaleźć odpowiedzi. Dlatego kiedy biorę do ręki jakąś książkę, to najmniej istotną rzeczą jest dla mnie, gdzie ona została napisana, gdzie urodził się autor. Czasem oczywiście to ma znaczenie. Jeśli chodzi o arcydzieła, to po części zgadzam się z tym, co powiedziała Paulina. Ale nie do końca. Bo na przykład Mikołaj Gogol chciał stworzyć arcydzieło, pisząc *Martwe dusze*. No i stworzył!

Arkadiusz Kalin: Nawiążę najpierw do pojęcia arcydzieła. Chyba większość zgodzi się ze mną, że to pojęcie zewnątrzliterackie. Związane z wartościowaniem. Nie wynika z cech dzieła, z jego poetyki. Nie ma w zasadzie recepty na arcydzieło. Arcydzieło to produkt wieszcz, kogoś, kto wyraża jakąś ideologię, spełnia jakieś społeczne standardy sztuki. Dla wielu czytelników powieści Henryka Sienkiewicza były arcydziełami, a dla innych zupełnie nie. Poza tym arcydzieło to pojęcie, które zniknęło ze słownika krytyki. Od ćwierćwiecza krytyka nie wypowiada się w kontekście nowszych rzeczy, używając tego pojęcia. Coś się zmieniło. Dzisiaj jest problem z arcydziełem. To, co zostaje arcydziełem, kamienieje w recepcji, to zabytek, któremu należy się szacunek. Jak byłem w liceum, to zaczytywaliśmy się w Gombrowiczu, wtedy się znowu pojawiły jego krajowe wydania, to była rewelacja. Jak wszedł do kanonu szkolnego, to chyba już tak nie oddziałuje na młodych czytelników. Kwestia arcydzieł to też w społecznym odbiorze problem kanonu. Obecnie mamy mnóstwo dyskusji wokół kanonu. Czy można mówić o arcydziele światowym? W Ameryce już raczej nie. I często wcale nie trzeba. Jeszcze kwestia regionalizmu. Region lubuski, jako kreacja powojenna, jest słabym regionem pod względem tożsamości, tradycji. Zresztą wszystkie regiony są w jakimś stopniu wymyślone. Jednak lubuska literatura nie jest wcale taka zła. To kwestia instytucji i promocji. Ta literatura nie będzie znana, jeśli nie będzie promowana. Obecnie istnieją tylko dwa lubuskie czasopisma. Przeczytałem jakiś czas temu opowiadania Edwarda Deryłaka *Wedelmann*. Nie ma tego nigdzie w księgarniach i w bibliotekach poza regionem lubuskim. O tomikach poetyckich już nawet nie będę wspominał. Mówię trochę z zewnętrznej perspektywy, dzieląc czas między Poznaniem a Gorzowem Wielkopolskim. I pocieszę Państwa, że dyskusje na temat mizarii literackiej miasta to jest w Poznaniu stały temat. Bo kogo przypiszemy do Poznania? Ten ośrodek ma ogromny potencjał, a tymczasem to raptem kilka rozpoznawalnych nazwisk, wcale nie najwybitniejszych, a jeśli już to tylko częściowo związanych z Poznaniem, jak Barańczak. Problematiczną kwestią jest też przypisanie pisarza do literatury regionu. Na przykład Maciej Płaza, nominowany do Nike, dostał Angelusa, od kilku lat mieszka w Poznaniu, ale nie postrzega się go jako pisarza poznańskiego. Odmienny przykład: w *Wielkopolskim słowniku pisarek* pisarką wielkopolską została Wisława Szymborska,

bo urodziła się w Kórniku, mimo że całe życie związana z Krakowem. Równie dobrze za pisarza lubuskiego można by uznać Ryszarda Krynickiego, który młodość spędził w Gorzowie. Olga Tokarczuk, urodzona w Sulechowie, przyznaje, że pierwszą książką, którą zaczęła czytać, była *Złota dzida Bolesława* Janusza Koniusza, co zapewne wpłynęło na jej wyobraźnię twórczą, ale nie czyni z niej pisarki lubuskiej.

Alfred Siatecki: W literaturze nie ma prostej hierarchii. Politycy usiłują forsować dzieła i arcydzieła. Do niedawna w kanonie lektur szkolnych był *Weiser Dawidek* Pawła Huellego. Dla mnie to by było arcydzieło. Ale z punktu politycznego prawdopodobnie było bez wartości. Dlatego zostało usunięte. Wracam jeszcze do tego, co powiedział Eugeniusz: że tu nie powstało nic wielkiego. Tak mi się przypomniało, że akcja cudownej książki-legendy, *Siekierzady* Stachury, dzieje się między Głogowem a Nową Solą. Wiele tam jest epizodów lokalnych, nawet zielonogórskich. Ja się nią zachwycałem. Zastanawiamy się, czy tu powstało coś wielkiego. Czy Państwo wiecie, że ta Basia z hymnu polskiego napisanego przez gen. Wybickiego to Lubuszanka? Na ogół się szuka tej Basi w bajkowej wymyślonej scenerii. Czy ktoś wie, że mieszkający w Żaganii (wtedy Sagan) kantor i organista ewangelicki, Fritz Lubrich, skomponował hymn niemiecki. Bardzo mało o sobie wiemy. Pisząc cykl z *kluczem do bramy*, zdałem sobie sprawę z tego, że kiedy mówimy o dziejach Polski, to wymieniamy Gniezno, bitwę pod Grunwaldem, hołd Pruski, tak jakby na tych ziemiach nic ważnego się nie działo. Sądzę, że nasz problem nie dotyczy dzieł i arcydzieł, tylko promocji. O powstających książkach prawie nic się nie mówi w lokalnej prasie, radiu. Nie ma omówień pozycji wydawniczych. Nie ma mowy o wartościowaniu. Do pewnego czasu byłem niezłe zorientowany w tym, co się tutaj wydaje i pisze. Od pewnego czasu jestem zagubiony. Wina jest mass mediów. Tylko ci autorzy, którzy występują w telewizji, istnieją.

Eugeniusz Kurzawa: Niepotrzebnie Państwo skupili się na problemie arcydzieła. To było tylko hasło wzięte z artykułu Masłowskiej z „Faktora”, bardzo umowne. Proszę je zostawić... Natomiast wszyscy dyskutanci wyraźnie uciekli od moich pytań, dlaczego lubuska literatura, lubuskie dzieła nie funkcjonują w Polsce i czy nam, przypadkiem, nie brak talentu... Może się jednak wkrótce okaże, że Zofia Mąkosa i jej trylogia *Wendyjska winnica* znajdzie się w ogólnopolskim kanonie? I zostanie naszą Tokarczuk. Na marginesie – Tokarczuk w jakiś sposób się przyznaje do Klenicy. Ale ona nie jest nasza. Ona jest ogólnopolska. Oczywiście mam świadomość, że środowisko lokalne jest bardzo ważne. Przecież dlatego w naszym interesie zacząłem przed laty chodzić do dyrektorów Instytutu Filologii Polskiej, żeby młodzi ludzie, studenci pisali o nas, robili prace dokumentacyjne, magisterskie, doktorskie. Mam świadomość, że to, co tworzymy, to średnia literatura, ale ważne, żeby była opisana, udokumentowana. Wiem, że to bardzo istotne dla dobra tej ziemi, tego regionu. Ale to jest inna kwestia, inny problem.

Mirosława Szott: Zgodzę się z Arkiem Kalinem, że lubimy rozmowy o mizerii, lubimy mówić o tym, że nie ma arcydzieł, to pewien fetysz. Mam wrażenie, że u nas występuje pewne przeskalowanie. Krytyka nie działa. Jak Czesław mówi, jest raczej opisująca niż oceniająca. W takim małym środowisku boimy się wyrażać wprost zdanie na jakiś temat. A nawet jak już wyrażamy, to bez odzewu. A przecież o wszystkim można napisać recenzję. Bez znaczenia, czy to genialne dzieło, czy coś bez wartości. Poza tym nie za wiele te recenzje opisowe dają. Chociaż nie jestem pewna, czy recenzje negatywne (wartościujące) coś by zmieniły. To raczej zabawa. Kolega pisze koledze. Później rewanż. Waśkiewicz mówił, że największym sukcesem tego środowiska na początkowym etapie jego powstawania było przewyciężenie nadzwyczajności, a my chyba chcielibyśmy być nadal nadzwyczajni. Problemem jest też to, że mało czytamy. Wydajemy sporo książek, ale mało czytamy dobrych rzeczy. Na przykład wspomniana przez Paulinę Grzegorzewska. Napisała prostą książkę, bez uduziwień. Lubuscy pisarze za dużo kombinują, są często niezorientowani w literaturze współczesnej. Nawet awangarda nam nie wychodzi. Jacek Katos Katarzyński starający się być eksperymentatorem, jest tradycjonalistą. Powiela schematy. I dodatkowo ma pewnie wrażenie, że nikt nie docenia jego geniuszu. To tylko przykład. W 1978 roku w dyskusji, która odbyła się na łamach „Gazety Lubuskiej”, zabrał głos Kurzawa jako młody, dwudziestoczteroletni poeta. Mówił, że u starszych słabnie zapał, że nie angażują się w pomoc młodym. Sporo w tamtych dyskusjach sentymentalizmu. My może teraz martwimy się o to samo, że nie ma młodszych piszących, że życie literackie zamiera. A to zupełnie mylny wniosek. Myślę, że naprawdę utalentowani zawsze się znajdują i bez problemu przebijają.

Małgorzata Mikołajczak: Chciałabym odnieść się do kwestii sytuacyjności, społeczno-kulturowych uwarunkowań współczesnego życia literackiego, które w wypadku twórczości lubuskiej wiążą się z problemem regionalizmu. Nie zgodzę się z Pauliną Korzeniewską i Andriejem Kotinem, że regionalność nie jest ważna. Zobaczcie, cały czas mówiąc o literaturze, mówimy zarazem o miejscu. To nie jest tak, że pisarz bierze się znikąd. Gdy teraz patrzę na literaturę z perspektywy regionalizmu, doceniam znaczenie słów Goethego: chcesz poznać pisarza, pojedź do kraju, w którym się urodził, żył, tworzył. To, co nas otacza, równocześnie nas określa, dlatego skierowałabym naszą dyskusję na te właśnie tory. Wydaje mi się, że to istotne między innymi z tego względu, że dzisiejsza literatura ma dużo do powiedzenia na temat miejsca. Na przykład tym, co w dużym stopniu decyduje o atrakcyjności powieści Tokarczuk, Odiji, Chwina, jest przeszłość miejsca, w którym osadzona jest akcja powieści oraz związana z tą przeszłością trauma fundacyjna. Warto też pytać o specyfikę danego regionu, na przykład badając prozę Trziszki, można pytać, dlaczego nazwał ten obszar „czarcią krainą”. Najlepsze współczesne utwory lubuskie to właśnie teksty poświęcone miejscu, takie jak *Stacyjka na wschodzie i zachodzie* Marii Sidorskiej-Ryczkowskiej, *Grünberg* Krzysztofa

Fedorowicza. Czytając je, możemy pytać o jednostkową przeszłość, ale też o historię, o to, skąd się tu wzięliśmy i czym jest ta przestrzeń, która nas otacza.

Kamila Gieba: Nie samo miejsce urodzenia świadczy o zaklasyfikowaniu pisarza jako regionalnego. Bo gdyby tak było, to twórczość Trziszki byłaby twórczością kresową. Wszyscy, którzy tworzyli tu życie literackie w latach 40. i 50., przybyli skądś. Byli przyjezdnymi. Lubuskość się wykształcała i dalej się wykształca. Może należałoby mówić o innym kryterium, które pozwala nazwać dany tekst literacki „regionalnym”? Temat? To, co specyficzne dla danego miejsca? Przykład: *Mniejsza epopeja* Marka Jurgońskiego mówi o wydarzeniach zielonogórskich z lat 70. Oczywiście istnieje jeszcze szereg innych czynników wpływających na regionalność literatury, na przykład sposób pisania, literackie konstruowanie miejsca. Odniosę się do dyskusji z „Pro Libris”, którą zapoczątkował w 2013 roku Robert Rudiak. Jego wypowiedź również wywołała polemikę. Rudiak postawił tezę, że środowisko literackie starzeje się, nic nowego się nie pojawia na horyzoncie. Wylczył średnią wieku osób zarejestrowanych w instytucjach, stowarzyszeniach. Pominął młodych pisarzy, którzy przecież nie potrzebują teraz zgromadzeń, stowarzyszeń, pokazują własną indywidualność właśnie poprzez brak przynależności do instytucji. Wartościowanie literatury ze względu na wiek autora wydaje się nieuzasadnione. Ważniejszy jest problem pokoleniowy. Jak ta literatura się zmienia? Jakie tematy podejmuje? Warto zaznaczyć, że literatura lubuska nie jest jednolita ani tematycznie, ani formalnie – być może dlatego trudno uchwycić jej specyfikę. Natomiast tym, co jest – jak sądzę – dla niej kluczowe, to tekstowe artykułowanie doświadczenia regionalnej przestrzeni.

Czesław Sobkowiak: Cała dyskusja zatrzymała się na tematach zastępczych. Zaciekawiał mnie wątek miejsca. Żadnego pisarza nie można odłączać od miejsca. Jeżeli ja interesuję się malarstwem Adama Bagińskiego, to dla mnie ma znaczenie, że od lat jego pracownia jest na poddaszu na ul. Wyspiańskiego, że on z domu maszeruje przez całe miasto do tej pracowni. Podobnie jest z poetami i pisarzami. Temat miejsca wcale nie był początkowo istotny. Jeśli Henryk Szyłkin wracał do swojej Litwy, to dlatego że tak naprawdę on tam cały czas był. A w Zielonej Górze nigdy nie zamieszkał. Mentalnie on tam został. Mietek Warszawski najlepszą swoją książkę napisał o krajobrazie, o duchu miejsca, o Laskach Odrzańskich i o matce. Nie powiem, że to jest arcydzieło. Ale mam wrażenie, że to są bardzo ważne rzeczy dla tożsamości naszego regionu. To nie jest banalne pisanie o jakiejś wsi, powodzi. Do tej pory Warszawskiemu nic nie poświęcono w Laskach, nie utrwalono jego obecności. W Gorzowie Wielkopolskim Dowgielewicz – najlepsze rzeczy napisała o Gorzowie. Morawski – też o Gorzowie. My będziemy pamiętać pisarzy, jak wypowiadali swoje ja poprzez miejsce. Nie funkcjonowanie przez Internet, ale co byliśmy w stanie powiedzieć o miejscu, w którym mieszkaliśmy. Czy to miejsce

urośnie do uniwersalnej miary jak na przykład u Joyce'a? To są kierunki. Mnie martwi, że wszyscy są tutaj dobrzy, łatwo się wypowiada wartościujące sądy. Ludzie, którzy zarządzają instytucjami kultury, nie pomagają. Nie robimy spotkań – mówią.

Paulina Korzeniewska: Chciałam nawiązać do promocji. To spędza sen z powiek wielu wydawnictwom. Rynek poetycki jest trudny. Książki się nie sprzedają. Promocja w mediach się nie opłaca. Wydawnictwa walczą o przetrwanie, jeśli nie dostają dotacji. Wielkim wysiłkiem jest walka o literaturę i jej promocja. Druga kwestia: czego nam brakuje, żeby przebić się do krajowego nurtu? Znam poetów i Państwo ich znać, którzy się przebijają. Nie ma krytyka, miłośnika poezji w Polsce, który nie zna na przykład Beaty Patrycji Klary, Karola Graczyka. To są osoby aktywne, bez kompleksów. Są to nazwiska dostrzegane; oni działają. Nie jest chyba z nami tak źle?

Andriej Kotin: *À propos* miejsca, chciałem tylko sprostować: nie powiedziałem, że miejsce nie jest ważne, ale że miejsce nie jest ważne dla mnie. Dla wielu autorów i czytelników miejsce odgrywa ogromną rolę i wpływa zarówno na formę, jak i temat utworu. Ale nie zgadzam się, że to dotyczy wszystkich. To bardzo indywidualna sprawa. Nie wierzę w coś takiego, jak miejsce samo w sobie. Miejsce jest kategorią naszej świadomości, nie wpływa na nas jako takie. Wpływa wtedy, gdy pisarz dopuszcza oddziaływanie tego miejsca w swojej świadomości. Miejsce nie ma woli, umysłu, nie wpływa na człowieka, który ma wolę i umysł. Mój ulubiony Nabokov nie utożsamiał się z żadnym miejscem. Praca nad *Lolita* zajęła mu dużo czasu, bo musiał wymyślić dla niej Amelkę. Prawdziwy mistrz nie opisuje, nie odzwierciedla rzeczywistości, tylko tworzy. Obojętnie, czy to jest Zielona Góra, czy Moskwa. Im bardziej nietypowy talent, tym bardziej dziwnie stworzona będzie rzeczywistość. To jest oczywiście wszystko względne. Ja nie odczuwam, że Zielona Góra jest dziwnym miejscem. Mieszkałem część życia w Moskwie, część w Berlinie. W Zielonej Górze czuję się normalnie.

Czesław Sobkowiak: Miejsce jest pewnym pryzczółkiem. Kiedyś w klasycznej epoce twórca był osadzony w systemie uniwersalnych wartości. Weryfikowano jego twórczość poprzez te wartości. Żeby Kochanowski mógł być wielkim pisarzem, musiał dojrzeć. To, co istotne dla współczesnego pisarza, to jest ta podstawa, to odniesienie, wiarygodność. Sprawa miejsca to nie tylko sprawa faktograficzna. Żaden pisarz nie będzie w sposób literalny opisywać rzeczywistości. Stworzy pewien krajobraz. Sam zarzucam nieraz poetom, że piszą niewiarygodnie, że to za mocno wydumane. Cenilem Janusza Werstlera z Żar. Średnio utalentowany, ale co najważniejsze: swoją osobowość wyrażał poprzez wiarygodne opisanie miasteczka. Nie dopatrywałbym się tu arcydzieła. Ale jest to bardzo ważne. Doświadczenie egzystencjalne człowieka. Świadectwo. Warszawski – tak samo autentyczny. To nie są wielkie sprawy. Nie chodzi przecież o wymądrzanie.

Arkadiusz Kalin: *Á propos* Trziszki, najlepsze utwory to jego wczesne rzeczy. W momencie, kiedy wyprowadził się do Warszawy, stracił kontakt z miejscem. Zaczął pisać coraz gorzej. A wylansował go Henryk Bereza. To było nazwisko, które wtedy promowało. Kto jeszcze ocaleje? Na pewno Dowgielewicz. Jej minipowieść *Krajobraz z topolą* warto przypominać. Po 1989 roku wielu pisarzy wpadło w otchłań zapomnienia. Tak było z Papuszą. Dopiero film i kilka ostatnich książek przypomniało o niej. To pracuje na legendę. Takich nazwisk było sporo, na przykład Marian Pilot wyciągnięty z niebytu przez nagrodę Nike. Nie wiem, czy ktoś tutaj zdobędzie sławę ogólnopolską. Zresztą co to znaczy? Remigiusz Mróz jest znanym pisarzem i producentem bestsellerów, kryminałów. I co z tego? Nikt go nie będzie pamiętał za chwilę. Niektórzy wybitni pozostaną tylko regionalnymi pisarzami. Erwin Kruk, związany z Warmią i Mazurami, przypomniany został ostatnio dzięki poznańskiej nagrodzie im. Adama Mickiewicza, ale nadal jest słabo kojarzony poza regionem. Wybitną książką z regionu lubuskiego jest *Stacyjka na wschodzie i zachodzie*, ale nie będzie ona tak popularna jak powieści Tokarczuk. Czy ludzie chcą czytać o regionie lubuskim? W Gdańsku wylansowano ponadregionalną sławę lokalnych pisarzy. W Szczecinie przedostało się kilku pisarzy do obiegu ogólnopolskiego, również w nurcie małych ojczyzn i dzięki problemowi przepracowanej historii polsko-niemieckiej. Niestety Lubuskie myli się wszystkim w Polsce z Lubelskiem, Gorzów Wielkopolski z Wielkopolską, a Zielona Góra z Jelenią Górą. Trzeba by znaleźć wyrazisty pomysł na Ziemię Lubuską. A na koniec wracając do arcydzieła. Kilkanaście lat temu wyszła książka *Przepis na arcydzieło*. Autorem jest Wojciech Wencel, znany jako poeta smoleński. On twierdzi, że arcydzieła powstają tylko w kręgu kultury chrześcijańskiej, reszta to dekadencja, degrengolada. Jeśli w tak wyłączający sposób mówi się o arcydziele, to staje się to groźne. Trzeba ostrożnie do tego podchodzić. Ale dziś to Wencel jest zamiast Huellego w kanonie lektur szkolnych.

Alfred Siatecki: W latach powojennych była taka moda, że osadzano pisarzy w różnych miejscach: Jeleniej Górze, Szczecinie (np. Gałczyński). Pisarze z Jeleniej Góry wyjechali, Gałczyński ze Szczecina także. Nie pamiętam, co oni wtedy napisali. To, o czym dziś mówimy, można by ulokować w takim hasle: „lubuskość – lokowanie produktu”. Nie ma znaczenia, gdzie dzieje się akcja – czy na Lubelszczyźnie, czy tu. Chodzi o to, czy mogą się utożsamić z tym, co napisane. Kiedy stoję przed obrazem w galerii, to czasem zatrzymuję się, a czasem idę dalej. Dzieło sztuki musi mówić. Jeśli dzieło literackie mnie zatrzymuje, to dla mnie jest to arcydzieło. Teraz pytanie: dla kogo pisać? Czy dla tych, którzy kupują, wypożyczają książki? Czy może pisać dla badaczy, którzy je analizują, badają? Ja wolę pisać dla czytelników. Podsumowując, pisanie jest zajmowaniem czasu, jest bez sensu. Można pisać listy, wkładać do szuflady. A właściwie wszystko jest zawarte w *Biblii*. My się tylko wiecznie powtarzamy.

Eugeniusz Kurzawa: Zachęcam do podsumowania. Pytania, które tu się pojawiły, są bardzo ważne. Czy nasi wybitni przebiją się do literatury ogólnopolskiej? Chciałbym w tym kontekście zapytać prof. Mikołajczak: co na przykład z Trziszką? Dlaczego się nie przebił?

Małgorzata Mikołajczak: Myślę, że byłoby tu wiele odpowiedzi. Trziszka kojarzony był z pewną epoką. Pisał też swoistym językiem, momentami gombrowiczowskim. Dzisiaj Trziszkę trzeba odczytywać na nowo. Tak, przyszedł czas, żeby na nowo go odkryć. Ale zostawiając tę kwestię, bo to osobny temat i problem, chciałam jeszcze zapytać: czy na sali jest ktoś, kto reprezentuje gazetę, radio? (cisza). Myślę, że trzeba zainteresować tą literaturą media, a także naszych lokalnych włodarzy. Nasza dyskusja powinna otwierać ciąg ważnych rozmów na temat powstającej tu twórczości, przyczyniając się do tego, że stanie się ona bardziej rozpoznawalna. Dzięki temu będziemy też mogli rozmawiać o niej bez kompleksów. Dziękuję za to spotkanie i rozmowę.

Eugeniusz Kurzawa: Dziękujemy Państwu za debatę.

Dyskusję spisała Mirosława Szott